

Jelyzaweta Bikułowa, studentka 3. roku specjalizacji
„Język ukraiński i literatura ukraińska”

24 lutego

Wojna złapała mnie, jak wielu z nas, w Charkowie. O piątej rano zadzwonił do mnie mój ojciec, który wybierał się w podróż służbową, a 200 metrów od mojego budynku eksplodował pocisk. Na szczęście wszyscy zostali żywi i nieuszkodzeni. Przez pierwsze minuty przeżywałam strach, panikę, niezrozumienie tego, co się dzieje i co robić dalej. Oczywiście ja, jak i większość, nie spodziewałam się wojny i nawet nie wyobrażałam sobie, że to się stanie. Nie miałam zebranej „walizki na czas trwogi”, od razu wybiegłam, by wybrać gotówkę i poszukać sposobów na wydostanie się z miasta. O 5:30 wszędzie były już długie kolejki. Zawsze będę pamiętała chłód, który panował na ulicach, bo wybiegłam prawie naga. Stojąc w kolejce próbowałam zadzwonić do rodziny, usłyszałam w pobliżu wybuchy i próbowałam się uspokoić. Na zawsze zapamiętam rozmowę z mamą:

— Córeczko, ojciec nie będzie mógł cię odebrać, jest poborowy i musi wracać do domu na służbę.

— Córeczko, ojciec nie będzie mógł cię odebrać, jest poborowy i musi wracać do domu na służbę.

— Mamo, co mam robić? Nie ma już biletów (o 6 rano na wyjeździe z miasta były już korki).

— Na pewno znajdziemy sposób, żeby cię odebrać jutro!

— Mamo, nie wiem, co tu jutro będzie.... (A obok nas wybuchła głośna eksplozja).

Wtedy zaczęła się długa podróż do domu....

Wytrzymaliśmy ponad 10 km wkorku na drodze z Charkowa. Najbardziej bolesny był widok ludzi na drodze z torbami, którym nie byliśmy w stanie pomóc, bo jechaliśmy już pełnym autem.

Tak minął mój pierwszy dzień wojny, pełen strachu, bólu, nieporozumień i uczuć do bliskich i do kraju.

Potem było już tylko straszniej....

Jelyzaweta Bikułowa, studentka 3. roku specjalizacji
„Język ukraiński i literatura ukraińska”

Życie pod okupacją....

Godzina policyjna, zaciemnienie, ciągła kontrola, czasami Rosjanie nawet chodzili z latarkami i świecili nam w okna, żeby sprawdzić, czy u nas wszystko w porządku. Kilka razy dziennie przesuwały się całe kolumny sprzętu wojskowego. Nawet teraz czasami budzę się w nocy i słyszę ten hałas.

Zaczęły się problemy z produktami, a raczej ich całkowitym brakiem, bo wszystkie drogi z Zaporozża zostały odcięte. Tylko coś przychodziło z okupowanego Melitopola, ale było to 4 razy droższe w sprzedaży.

W pewnym momencie zdecydowałam, że powinnam spróbować wyjechać, bo będzie tylko gorzej.

Musiałam zostawić nieletnią siostrę, rodziców i babcię. Przecież oni na ten moment jeszcze nie zgodzili się wyjechać, bo jest praca i muszą pracować i pomagać krajowi.

Nie potrafię wyrazić tego, jak się czułam wtedy, kiedy musiałam po prostu wyjechać i zostawić ich tam.

Ewakuacja, która prawie zabiła mnie i moją rodzinę...

Był początek kwietnia. W tym czasie jeszcze nadal aktywnie ewakuowali ludzi z Energodaru, Wasyliwki i Melitopola. Uzgodniono oficjalny zielony korytarz. Czekaliśmy na konwój z Energodaru, który miał już około 150 samochodów, z miasta Dnieprorudne dołączyło około 100 kolejnych samochodów. Wyruszyliśmy. Przez długi czas sprawdzano każdy samochód w punkcie kontrolnym (telefony, dokumenty i inne rzeczy). Przejechaliliśmy około 50 km i zatrzymaliśmy się, ponieważ był kolejny punkt kontrolny, w którym kazano nam „czekać”. Zapamiętałam to "czekać" na długo, bo przestaliśmy ponad 12 godzin.

Jelyzaweta Bikułowa, studentka 3. roku specjalizacji
„Język ukraiński i literatura ukraińska”

Następnego dnia wszystko było tak samo. Oczekiwanie. Wyczerpanie. Nadzieja. Zmęczenie. Nie przepuścili nas, pomimo oficjalnego zielonego korytarza. Ale tego dnia postanowiliśmy też przemocować w drodze, bo zabrakło nam paliwa.

To była jedna z najgorszych nocy w moim życiu. Spaliśmy na zmianę, bo po prostu nie było wystarczająco dużo miejsca. Był czas, kiedy spaliśmy, nikomu nie przeszkadzaliśmy. Nagle usłyszeliśmy uderzenie o szybę: okazało się, że to automat. Ci dranie postanowili sprawdzić, czy wszystko z nami w porządku, w końcu kazali nam otworzyć bagażnik i przeszukali wszystkie nasze rzeczy w poszukiwaniu czegoś. Moje uczucia i strach, które czułam w tym momencie, są trudne do opisanie, bo nocujesz w polu, 50 metrów od punktu kontrolnego tych nie ludzi i 100 metrów od zbombardowanej Wasyliwki.

Rano zebrało się dużo samochodów i dzięki Bogu zaczęli powoli przepuszczać, jeden po drugim, sprawdzając każdy drobiazg. Po trzech godzinach oczekiwania przejechaliśmy do 10 km i zatrzymaliśmy się na kolejnym punkcie kontrolnym w centrum Wasyliwki. Tu jest duży węzeł komunikacyjny, z drogami prowadzącymi do Energodaru, Berdiańska, Mariupola i Melitopola.

Znowu czekaliśmy, czekaliśmy długo.... Widzieliśmy te „autobusy życia”, które zostały wysłane z Zaporozża do Mariupola. W tym czasie modliłam się nie za siebie, ale o przybycie i powrót do domu tych ludzi z Mariupola. Ponieważ każdy autobus to ponad 60 ludzkich istnień.

Powiedziano nam: „Ukryjcie się, bo zaraz zacznie się ostrzał”. Po prostu trudno sobie wyobrazić, co wtedy czułam. Udzielili nam schronienia ludzie, którzy tam jeszcze zostali, w Wasyliwce, ukryliśmy się w piwnicy i słyszeliśmy tylko salwy GRADu. Było bardzo głośno, strasznie i przerażająco, bo nie wiedziałam, jak skończy się ten ostrzał i czy wszyscy przeżyjemy. To piekło trwało godzinę.

Jelyzaweta Bikułowa, studentka 3. roku specjalizacji
„Język ukraiński i literatura ukraińska”

Po ostrzale połowa samochodów zawróciła, ale część pozostała i nadal chciała jechać. Potem była długa historia z dokumentami i listami, ale wieczorem zaczęli nas przepuszczać po jednym samochodzie. Zgodziliśmy się czekać na wszystkich w kolumnie, bo każdy samochód długo sprawdzali i zmuszali mężczyzn do rozebrania się. Mój brat też musiał przejść przez to upokorzenie. W końcu postanowiliśmy przejechać przez wioskę, aby ominąć kolejny punkt kontrolny tych przeklętych orków. Potem minęliśmy jeszcze trzy doszczętnie zniszczone wsie, ale ludzie, którzy tam zostali, przywitali nas, pomogli i oferowali tylko wodę, bo nic więcej nie mieli.

I oto ciemność. Wszyscy jesteśmy proszeni o usunięcie białych znaków z samochodów, wyłączenie telefonów, jazdę bez świateł. To było bardzo przerażające, bo była już noc.

Widzieliśmy spalone samochody, domy i spalone pola. Jechaliśmy przez około godzinę, a potem zobaczyłam to, co wywołało łzy w moich oczach. Zobaczyłam naszą FLAGĘ I NASZYCH WOJOWNIKÓW. Oni witali nas i byli bardzo szczęśliwi, jak i my wszyscy. Wciąż nie zdawałam sobie sprawy, że oto tu jestem, tu są nasi, oni nas chronią.

Dalej widzieliśmy okropne widoki: miny leżące tuż przy drodze, rakieta, która utknęła w drodze i nie wybuchła. Nadal było dużo korków, minęły chyba 4 godziny, kiedy w końcu dotarliśmy do Zaporozża. Spotkali nas wolontariusze, zarejestrowali, nakarmili i zostawili jeszcze na noc, bo była już godzina policyjna. Nasza podróż jeszcze się nie skończyła. Wszyscy byli bardzo zmęczeni, ale szczęśliwi, bo byli już bezpieczni i uciekli z piekła.

Nie mogłam w to uwierzyć: wcześniej przed wojną dojeżdżałam 100 km do Zaporozża za godzinę, a tu jechaliśmy 3 dni....

Te 100 km piekła zapamiętam do końca życia.

Iryna Romanyszyn, studentka 1. roku specjalizacji
„Język polski i literatura polska oraz język
ukraiński”

Moje doświadczenie ewakuacji

Moi rodzice i ja mieszkamy w Charkowie niedaleko lotniska. Rankiem 24 lutego 2022 roku obudziły mnie wybuchy. Z Internetu dowiedzieliśmy się, że Rosja zaatakowała Ukrainę i zaczęła się wojna. Wtedy usłyszeliśmy alarm. Byłam bardzo przestraszona. Nie chciałam wyjeżdżać z Charkowa, ale rodzice przekonali mnie, żebym pojechała w bezpieczniejsze miejsce. Mój kuzyn zaprosił nas, byśmy pojechali z nim do jego domu na wsi w rejonie wałkiwskim. Mieliśmy bardzo mało czasu na spakowanie. Zabraliśmy ze sobą tylko niezbędne rzeczy i dokumenty. Jechaliśmy powoli, bo na wyjeździe z Charkowa było dużo samochodów i był korek na drodze. Podróż trwała 5 godzin, chociaż zwykle dostawaliśmy się tamw ciągu 50 minut. Tu czuję się bezpiecznie, bo jest cicho i nie słychać żadnych wybuchów. Bardzo mi przykro, że moi przyjaciele, znajomi i wszyscy Ukraińcy cierpią z powodu wojny.

Kyryło Kozłow, student 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

Przed inwazją na pełną skalę moja rodzina i ja mieszkaliśmy na Północnej Sałtwce. Jest to obszar, który najbardziej ucierpiał w Charkowie ze względu na jego niefortunne położenie na obrzeżach, w pobliżu obwodnicy, wzdłuż której ciągnęły się wsie, które stały się swoistą trampoliną do ostrzeliwania miasta. Kiedy byłem uczniem, zazdrościłem kolegom z klasy, że nie musieli spędzać codziennie godziny na dojazd do szkoły, ale później nawet zakochałem się w swoim betonowym getcie. Z jakiegoś powodu to miejsce wydawało mi się przytulne, a dom stał się prawdziwą fortecą, która zawsze czekała na mnie z nocnych spacerów po mieście. Tak było wcześniej.

Kiedy usłyszałem pierwsze eksplozje około 05:30 24 lutego, nie rozumiałem, co się dzieje. Na początku myślałem, że samochód się zapalił na zewnątrz, a zaledwie kilka minut później przypomniałem sobie, że media od trzech tygodni aktywnie rozpowszechniały informacje o możliwym rosyjskim ataku na Ukrainę. Teraz nie można było tego nazwać możliwym: wojna, która rozpoczęła się osiem lat temu w Donbasie, teraz szybko rozprzestrzenia się na mapie naszego kraju. Ponieważ moi rodzice i ja nie mieliśmy dokąd uciec, po prostu zebraliśmy najważniejsze rzeczy i przez trzy godziny siedzieliśmy na korytarzu, słuchając eksplozji pocisków w niszczonej przez Rosjan bazie wojskowej.

Kiedy wszystko zaczęło się uspokajać, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że ludzie z innych domów już wychodzą z walizkami i idą prosto do swoich samochodów. Potem postanowiliśmy pójść do sklepu po jedzenie, bo nie wiedzieliśmy jeszcze, jak długo potrwa ta inwazja. Na ulicy gromadziły się już kolejki przy sklepach, a na stacjach benzynowych pojawiły się korki. Mieszkańcy Charkowa powoli oddalali się od swojego miasta.

Po powrocie z supermarketu, gdzie czekaliśmy trzy godziny przy kasie, obejrzałem rejon: nie było trafień, ale z jakiegoś powodu wydawało mi się, że jest już zrujnowany. Jest podobny do osoby, która ma pewne problemy, o których nie może jeszcze głośno powiedzieć.

Kyryło Kozłow, student 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

Wkrótce potem przeczytałem wiadomość o możliwym zbombardowaniu Sałtiwki i poprosiłem rodziców, aby razem udać się do schronu przeciwlotniczego. Co ciekawe, w tamtym czasie myślałem jeszcze słowa „schron przeciwlotniczy” i „piwnica”, więc pomyślałem, że nasz dom ma swój schron, ale była to zwykła piwnica, w której przechowywano wszelkiego rodzaju narzędzia i rury. Teraz już nie pamiętam, ile razy tam byliśmy, ale na pewno dużo.

Rejon bardzo szybko się opróżnił. W nocy nie świecił już latarniami i światłami w oknach mieszkań, a na ulicach prawie nie było ludzi. Nie poznawałem mojej rodzimej Północnej Sałtiwki i płakałem, ponieważ czułem, że tracę wszystko, co wydawało się być żelazobetonem. Tak skończył się pierwszy dzień inwazji na pełną skalę.

Wspominałem, że jako dziecko często bawiłem się na placu zabaw, gdzie stał wycofany ze służby radziecki myśliwiec („sałtowskie” zabawki są bardzo, bardzo dziwne). Tata pomógł mi wejść do kabiny, ale zawsze bałem się, że ten samolot gdzieś ze mną polecą. Może w celu wykonania rozkazu.

I na długo będę pamiętał noc 27 lutego, kiedy moi rodzice i ja nie mieliśmy czasu na schowanie się w piwnicy. Potem musieliśmy spędzić noc w przedsionku, bo tam są mocniejsze ściany. Ale było to nie do zniesienia: w dzień fala dźwiękowa rozbiła szybę w drzwiach prowadzących na klatkę, a w nocy, gdy ostrzały stały się częstsze, zrobiło się bardzo głośno. Ten dźwięk wciąż brzmi w mojej głowie.

3. marca, gdy prawdopodobnie coś się stało z wieżą nadajnikową, zniknął zasięg. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w Ukrainie, w Charkowie, ale najgorsze było to, że nie udało nam się zadzwonić do naszych bliskich, żeby upewnić się, że wszyscy żyją. Wtedy wydawało mi się, że wszystkie obszary miasta ucierpiały jednakowo od rosyjskich pocisków, ale później okazało się, że gdzieś na szczęście było jeszcze spokojniej.

Kyryło Kozłow, student 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

Zauważyłem taką ciekawostkę: zawsze jest straszniej, gdy uderzają w pobliski budynek. Po pierwsze wydaje się, że eksplozja jest głośniejsza, a po drugie odłamki mogą uszkodzić coś w twoim domu, który mógł nawet nie być celem wroga. 4. marca po raz pierwszy pocisk uderzył w nasze wejście. Mieszkanie poniżej zapaliło się. Ratownicy przez długi czas nie mogli dotrzeć na teren ze względu na zmasowane ostrzały, które trwały jeszcze godzinę. Właśnie zdałem sobie sprawę, że gdyby pocisk trafił pół metra wyżej, prawdopodobnie nigdy bym nie napisał tego tekstu.

Następnego dnia postanowiliśmy opuścić Północną Sałtiwkę. Po drodze widzieliśmy wiele trafień i pożarów. Cały teren przypominał grę, w której fabuła poświęcona jest postapokaliptycznemu światu. Pamiętam, że wtedy padał śnieg i nasze walizki były zbyt ciężkie. Moja mama patrzyła na sąsiednie domy i bardzo płakała.

Na Północnej Sałtiwce spędziliśmy dziesięć dni, ale mózg, który wciąż próbuje ocalić resztki psychiki, prawdopodobnie nie pozwolił mi przypomnieć sobie wszystkiego, co się wtedy wydarzyło.

Nie lubię, gdy ktoś to mówi, ale muszę przyznać, że na mojej osi czasu istnieje umowna granica między tym, co wydarzyło się przed 24 lutego, a tym, co wydarzyło się później. A to „przed” było wypełnione tak absurdalnymi problemami, że nadal często nazywa się je przyziemnymi. Gdybym tylko mógł zajrzeć do „po”, zdecydowanie zmieniłbym swoje nastawienie do wszystkich i do wszystkiego. Może jednak bym nie zmienił, bo kto teraz wie, jak by to wszystko się potoczyło?

Po krótkiej chwili namysłu zdajesz sobie sprawę, że nie ma nic gorszego niż wojna, w której zawsze chodzi o stratę. I jeszcze jeden bardzo dziwny fakt: antonim słowa „życie” – „śmierć”; koniec każdego życia zawsze był i będzie śmiercią, więc okazuje się, że przeciwne rzeczowniki wciąż mogą mieć swój punkt przecięcia.

Kyryło Kozłow, student 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

Ludzie rzadko są zdezorientowani wiadomościami o śmierci innych. No dobrze, ktoś może się nad tym zastanowić, ale za chwilę ta codzienność znowu wszystko wyprze. Tak czy inaczej, każda osoba jest odrębnym wszechświatem z własnymi przekonaniem, ulubionymi piosenkami, filmami, książkami, z własnymi wyobrażeniami na temat wartości. Według rosyjskich dowódców wszystko to może być zawartością czarnego worka.

Tysiące Ukraińców codziennie obserwuje żniwo śmierci. Ta rzeczywistość już przypomina cytaty z powieści Remarque'a Czarny obelisk: „Śmierć jednej osoby to tragedia, a śmierć milionów to statystyka”. Nawet teraz, kiedy to piszę, ktoś umiera, bo po prostu urodził się tu w Ukrainie. Tymczasem życie Europejczyków kwitnie; dla nich Mariupol, Bucza, Irpień, Hostomel to jakieś nieznane miasta z łamów gazet i serwisów informacyjnych, a dla nas — prawdziwy ból.

Wydaje się, że nigdy nie zrozumiemy, co się dzieje w umyśle tego, kto nakazuje zabijać innych. A co z ludźmi, którzy chwytają za broń i po cichu wykonują te rozkazy? Czy w ogóle można ich nazwać ludźmi? Może to dobrze, że tego nie rozumiem.

Rosjanie zawsze chcieli zniszczyć Ukraińców. Ich rząd robi wszystko, aby w pobliżu nie było państwa słowiańskiego, w którym panuje równość, szacunek i demokracja. W czasach Imperium Rosyjskiego zabraniano nam publikowania książek w naszym ojczystym języku, próbowaliśmy się asymilować. W ZSRR głodzono Ukraińców, rusyfikowano i zabijano tych, którzy nie zgadzali się z polityką partii. Dziś Rosjanie opowiadają nam o jakimś braterstwie. Nawiasem mówiąc, to ironia losu, że mój dom znajduje się na ulicy Przyjaźni Narodów. Sowiecka narracja każe nam się zastanowić: z jakimi ludźmi się przyjaźniliśmy? Podobno z tymi, którzy zostawiają ogromne dziury w budynkach na tej samej ulicy.

Kyryło Kozłow, student 3. roku specjalizacji „Język ukraiński
i literatura ukraińska”

Trudno opisać, jak się teraz czuję. Wszystkie te wieści o gwałtach na kobietach, morderstwach dzieci... Mały ja pyta w głowie: „Dlaczego tak się dzieje?” A dorosły ja nie wie co odpowiedzieć. To już nie jest tylko nienawiść. Ona nie ratuje przed wrogiem, a my musimy działać na rzecz ratowania naszego państwa. Niektórzy bronią Ukrainy na froncie, niektórzy zostali wolontariuszami, a niektórzy chronią jej przestrzeń informacyjną. W końcu zrezygnowałem z rosyjskich treści i postanowiłem mówić po ukraińsku. Bardzo mały wkład w zwycięstwo, ale skuteczny: im więcej ludzi z regionów wschodnich i południowych zrozumie znaczenie własnej kultury, tym szybciej pozbedziemy się presji najeźdźcy.

Ksenija Babuszko, studentka 1. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

2 marca 2022 roku wraz z matką i siostrą rozpoczęłyśmy długą podróż do Polski. Jechaliśmy pociągiem "Charków – Lwów" przez 24 godziny w ciasnej przestrzeni z dużą liczbą różnych ludzi z całego świata. Ludzie pomagali sobie nawzajem, aby wygodnie przebywać w ciasnym pomieszczeniu, w którym brakowało powietrza.

Pojechaliśmy najpierw do Kowla, a następnego dnia autobusem do Lublina. Ale jeszcze przed początkiem następnej podróży w miejscu wyjazdu zorganizowano posiłki, które przygotowali Polacy dla uchodźców. Dodatkowo otrzymałyśmy pomoc podczas wyjazdu. Wolontariusze wsiedli do autobusu, rozdali sok i jabłka. Jedzenie można było również otrzymać w punkcie kontroli dokumentów.

Na dworzec w Lublinie dotarliśmy wieczorem. Tu udzielano również pomocy materialnej, w tym rozdawano odzież dziecięcą, artykuły higieny osobistej i inne. Nie zdążyłyśmy na pociąg, więc musiałyśmy gdzieś przenocować. Ale nie było z tym żadnych problemów, ponieważ wszystkie informacje zostały przekazane przez wolontariuszy, którzy pomogli wypełnić ankiety dotyczące tymczasowego zakwaterowania. Następnie radiowóz zabrał nas do budynku, w którym mogłyśmy pospać, wziąć prysznic, naładować nasze telefony komórkowe i ponownie dostać darmowe jedzenie.

Jednym z zasobów wsparcia, z których skorzystała moja rodzina po przyjeździe do Bydgoszczy, było centrum pomocy dla Ukraińców, gdzie wolontariusze pomagają wypełnić ankietę, napisać listę z informacjami o tym, czego się potrzebuje (leki, ręczniki, ubrania, buty itp.) i otrzymać te rzeczy. Rzeczy, które ludzie przywożą z całej Polski, bo chcą pomóc.

Chęć pomocy naszych sąsiadów jest szczerą i w żaden sposób nie narzucana: nie należy ich prosić o pomoc, bo w Polsce jest wielu ludzi, którzy chcą ułatwić Ukraińcom pobyt w obcym kraju. Kiedy więc moja mama zapłakała, bo odczuła takie wsparcie ze strony ludzi, którzy nie byli winni naszym problemom, siedząca obok niej kobieta podała jej serwetkę i powiedziała: „Wszystko będzie dobrze”.

Ksenija Ryżych, studentka 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

24.02.22

W takich chwilach chce się pisać, aby odwrócić uwagę od tego, co się dzieje...

Rozpoczęła się wojna, której wszyscy tak bardzo się bali, a którą ja nieumyślnie... zasnęłam. Kiedy obudziłam się o 07:41, myślałam, że niedługo zaczną się zajęcia, potem następne, więc musiałam powtórzyć materiał. Jednak moją uwagę zwrócił telefon, który był rozdarty komunikatami typu: „Jak się masz?”, „Gdzie jesteś?”, „Czy wszystko w porządku?” Niczego nie rozumiejąc, zajrzałam w rozmowę grupy i po prostu doznałam szoku... Pierwsze, co tam zobaczyłam: „Przyjaciele, Charków jest bombardowany, nie będzie zajęć...” CO?! Ręce mi się trzęsły... Okazuje się, że bombardowali od 5 rano, a ja spałam, i rodzice nie chcieli mnie obudzić, żebym nie wpadła w panikę ze snu.

25.02.22

Noc i cały następny dzień spędziliśmy w zimnej piwnicy. Wieczorem wyszliśmy z tatą przewietrzyć płuca. Kocica kręciła się w nogach — taka delikatna i dziwaczna: oczy miała jak dwa zielone talerze, a była szara i kudłata, jak diabeł z pudełka. Wyciągnęłam rękę, żeby ją pogłaskać...

Momentalny błysk i głośna eksplozja sprawiły, że zaczęłam krzyczeć i ruszać się. Poleciliśmy do piwnicy nie patrząc pod nogi, a śmierć zdawała się deptać po piętach. Ukrywając się, chwyciłam swoją ulubioną książkę („Dom, w którym...” M. Petrosyan) i przycisnęłam tak mocno, jakbym chciała wepchnąć ją w samą duszę.

A z góry walili, walili, walili, jakby gigantyczna krwawa ręka zerwała sufit i próbowała dostać nas przez piętra ostrymi pazurami...

Później dowiedziałam się, że pociski trafiły w budynek przedszkola i akademik Akademii Weterynaryjnej. Są ranni, których operowali miejscowi weterynarze. Nawet nie wiedziałam, że w mojej wsi były to obiekty „wojskowe”.

Ksenija Ryżych, studentka 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

26.02.22.

Eksplozje. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam „GRAD”, pomyślałam, że to jak burza z piorunami lub odgłos gruzu wpadającego do żelaznej misy. Jeśli jednak grzmot lub kamień nie są w stanie wyrządzić znacznej krzywdy osobie, to pocisk... sami rozumiecie, to pewna śmierć.

W dzisiejszym świecie śmierć chodzi nie z kosą, ale z bronią palną. Nienawidzę każdej broni: jej moc stwarza iluzję pobłażliwości, która psuje nawet najlepszych z nas. A co powiedzieć o konsekwencjach, kiedy wpadła w ręce śmierdzącego tyrana, który postanowił zabawić się w „wyzwolicieła”. Nie ma takiego wybawienia, którego ceną byłoby choćby jedno ludzkie życie, a takie „dobre” intencje zwykle torują drogę do piekła!

27.02.22.

Życie w Małej Danyliwce można opisać w dwóch słowach – ciągła bieganina: bezpieczny pokój – łazienka – piwnica i tak dalej w kółko... Jesteś przerażony, drżysz przy każdym ostrym dźwięku i generalnie czujesz się jak Leon: nie możesz sobie pozwolić na odpoczynek ani na chwilę, bo za chwilę zaczniesz się ostrzać i musisz być gotowy, by nieść swoje życie do piwnicy.

29.02.22

Kiedy moja mama płacze, czuję, że w środku wszystko się rozpada. Jej łzy są najbardziej palące i słone, czynią cię bezradnym. Przecież nie udało się uchronić najdroższej osoby przed rozlaniem tych gorzkich, przezroczystych strumieni, które drażnią nie tylko jej oczy, ale i twoją duszę. Byłam jednak silna, wspierałam ją, starałam się odwrócić jej uwagę, podnieść na duchu. A mój ojciec nas wspierał, wspierał nas wszystkich.

Ksenija Ryżych, studentka 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

Oto, czego nauczyłam się w ciągu ostatnich kilku dni:

- Ukraińcy po raz kolejny udowodnili swoimi uczynkami, że darzą siebie wzajemną miłością. Chronią, wspierają i szybko pomagają sobie nawzajem niczym *jedna wielka rodzina*.
- Jak ważne jest *przepraszać, przebaczać i zawsze być życzliwym* dla ludzi, bo nigdy nie wiadomo, kto i kiedy poda tobie pomocną dłoń.
- Niegdyś formalno-etykietowe zwroty: „Jak się masz?”, „Jak leci?”, „Jak twoje zdrowie?” — teraz są na wagę złota i ogrzewają duszę nie gorzej niż sweter, a niedyś standardowe odpowiedzi: "Wszystko w porządku", "Wszystko dobrze" — są na wagę brylantów, a nerwy uspokajają nie gorzej niż waleriana.
- Każda wiadomość, każdy telefon mówi: "*Kocham Cię, przyjacielu/przyjaciółko, kochany/kochana, mamu/tato, dziadku/babciu, sestro/bracie... CZŁOWIEKU!*"
- *Nie należy odkładać życia „na później”*. Zasady: potem zrobię, skończę, powiem, napiszę, przeproszę, wyznam... – już nie działają, tylko "tu i teraz" jest priorytetem.
- *Na wojnie zmarli giną po raz drugi*. Sąsiadka powiedziała niedawno, że okupanci uderzyli w cmentarz w pobliżu Merefy, „aby wszyscy zmarli wydostali się na zewnątrz”. A dzisiaj wycelowali w Babyn Yar! Jakimi nie-ludźmi trzeba być, aby nie dawać ludziom spokoju również na tamtym świecie?! Ludziom, którzy za życia byli zakatowani przez nazistów, a którzy nawet teraz po śmierci, są „ekshumowani” przez potomków tych, którzy z faszystami kiedyś walczyli. Absurd i hańba!

Ksenija Ryżych, studentka 3. roku specjalizacji „Język ukraiński i literatura ukraińska”

Zdałam sobie również sprawę, że ludzie mogą być po prostu strasznie nieodpowiedzialni, nawet jeśli chodzi o ratowanie im życia.

Uderzającym przykładem są moi sąsiedzi, którzy, jak sądzę, przypominają czyichś sąsiadów z jakiegokolwiek kamienicy. W nocy zaczęli strzelać, wszyscy mieszkańcy z naszej klatki rzucili się do piwnicy. Siedzimy na rurach, trzęsąc się jak te wróble na drucie. Nagle jedna z sąsiadek wyznała: „Jeju, a ja nie zgasiłam światła...” Myślałam, że spopielę ją wzrokiem. Dlaczego ona w ogóle je włączyła?! A potem podskoczyła druga: „To jeszcze nic, a u sąsiadki z czwartego piętra wczoraj od piątej do dwunastej paliło się światło”. Matko Boska, dlaczego nie obchodzi ich nie tylko cudze, ale i własne życie?! Byłam już gotowa urządzić awanturę, napięte nerwy gotowe były obruszyć się lawiną z góry kruchej cierpliwości... Na szczęście mama była w stanie mnie powstrzymać, bo, czuję, byłyby kłopoty. Moim zdaniem ludzka nieodpowiedzialność i głupota są gorsze niż jakikolwiek wróg.

Drugi przypadek. Siedzieliśmy w pokoju i nagle rozległa się taka potężna eksplozja, że przestraszona spadłam z kanapy. Szybko się ubraliśmy i jak wszyscy sąsiedzi pobiegliśmy do schronu. Znowu siedzimy, zakrywając głowy, czekając, aż spadnie na nas sufit.

Kiedy się uspokoiło, zaczęliśmy trochę rozmawiać, i Boże, lepiej by moi sąsiedzi milczeli! Okazuje się, że niektórzy mieszkańcy widzieli „mężczyznę w ciemności rano przez okno, spacerującego po polach ze sportową torbą i czegoś szukającego”. Na moje pytanie, kto ma obsesję na punkcie grzebania w zaśnieżonych polach i szukania czegoś, odpowiedzieli: „Skąd mam wiedzieć? To nie moja sprawa, może po prostu spacerował”... Czy muszę dodawać, że w to miejsce, gdzie ten gość „po prostu spacerował”, przyleciał pocisk, 300 metrów od domu?

Sofija Lin, studentka 1. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Moje doświadczenie ewakuacji

Szczerze mówiąc, nawet podczas obstrzałów czułam spokój, bo nie boję się śmierci i wierzę, że „co ma wisieć, nie utonie”.

Jeszcze na początku wojny moja mama i dziadek dyskutowali o możliwości mojej ewakuacji. Nie chciałam wyjeżdżać z Charkowa, ale moja matka nalegała na to.

Wczesnie rano pojechaliśmy na dworzec. Po drodze widziałam, jak niesamowicie silnie zostały zniszczone nasze drogi. Kiedy przyjechaliśmy, z dumą patrzyłam na policjantów, którzy pracowali. Obok dworca było dużo porzuconych samochodów. Nic w tym dziwnego, bo ludzie przede wszystkim ratowali życie. Kiedy byłam w pociągu, myślałam o życiu, o tym, jak będzie wspaniale, gdy Ukraina zwycięży. W drodze bardzo często znikał Internet i nie było zasięgu. Siedziałam sama tam, gdzie zwykle siedzi konduktor.

Do Połtawy dostałam się bardzo szybko. Po przyjeździe doczekałam się dziadka, który zabrał mnie z dworca swoim samochodem. Ponadto zabraliśmy do Kremenczuka kobietę z psem, która też przyjechała z Charkowa: ona proponowała za to pieniądze, ale dziadek nic nie wziął, przecież musimy pomagać sobie nawzajem. Następnie udało nam się dotrzeć do Kremenczuka.

Nie myślałam, że zostanę tu na dłużej, więc wzięłam minimum rzeczy. Jestem w szoku, jak szybko leci czas, bo siedzę tu już cztery tygodnie. Na szczęście jest tu wiele różnych sklepów, więc kupiłam sobie wszystko, czego potrzebuję. Zrobiłam sobie nawet nowy manicure.

Bardzo tęsknię za rodzicami, chłopakiem i przyjaciółmi. Rozumiem, że wojna szybko się nie skończy, ale naprawdę chcę, żeby wszystko już się skończyło. W związku z ostatnimi wydarzeniami jeszcze bardziej rozumiem, jak ważne jest nieustannie mówić słowa miłości swoim bliskim, bo mamy tylko dzisiaj i nie wiemy, czy nadejdzie jutro.

Anastazja Szumejko, studentka 3. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Dla mnie osobiście to wydarzenie rozpoczęło się nie 24 lutego, ale kilka dni wcześniej – 21 lutego, kiedy prezydent kraju agresora ogłosił swoją akceptację niepodległości tzw. „L/DNR”. Po południu 23 lutego odbyłyśmy z mamą rozmowę, której tematem było zbieranie rzeczy na wszelki wypadek, bo nie wiadomo, czego oczekiwać od tego człowieka, jakie będą jego rozkazy. Umówiłyśmy się, że zrobimy to w ciągu najbliższych dwóch, trzech dni.

Następnego dnia przyszło mi się obudzić około piątej rano od eksplozji za oknem. Nigdy nie zapomnę, jak trzęsło się moje łóżko i okna, a światło było widoczne na zewnątrz. Na początku było odrętwienie, potem bardzo trudno coś przypomnieć. Pamiętam tylko, że mama spanikowała, że usłyszałam krzyki sąsiadki do męża, jak wyszłam bosą na zimny balkon po torby podróżne i jak szybko pomyślałam, co koniecznie powinnam zabrać ze sobą. Potem pojechaliśmy odwiedzić naszych dziadków na obrzeżach Charkowa i dotarliśmy do nich w ciągu 20-30 minut. Wydawało się wtedy, że będzie tam bezpiecznie i będziemy musieli przeczekać kilka dni, a potem będziemy mogli wrócić do naszego mieszkania. Ale od tego czasu minęły ponad dwa miesiące i nie wróciliśmy. Pierwszego dnia było tam naprawdę cicho, a potem prawie bez przerwy trzeba było schodzić do ciasnej i zimnej piwnicy. Byliśmy tam około ośmiu dni, bo wyjechaliśmy z miasta wczesnym rankiem 4 marca, w urodziny mojego dziadka, który zabrał nas na dworzec i tam został z babcią. Te osiem dni to najgorsze dni w życiu mojej rodziny, które na zawsze zapadły w mojej pamięci.

Pamiętam, jednego razu, kiedy przeleciała nad nami rakietą, było tak przerażająco, że wydawało się, że zaraz uderzy w nasz dom i stopimy się jak płatki śniegu w dłoniach. Ale nie. Na szczęście to już koniec. Potem zadzwoniłam do ukochanej osoby, aby opowiedzieć o tym „przylocie” i usłyszeć jego głos, bo myślałam, że to ostatni raz.

Anastazja Szumejko, studentka 3. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Chciałabym też powiedzieć, że moja rodzina jest w całości rosyjskojęzyczna, a ponadto znaczna część pochodzi z terytorium współczesnej Rosji. Nigdy nie byliśmy krytykowani za język, którym mówimy. Mówimy też po ukraińsku: uczyliśmy się, zdaliśmy egzaminy i pracowaliśmy w tym języku. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę musiała wyrzec się moich rosyjskich „krewnych”, ponieważ uwierzą nie nam, ludziom przeżywającym ten horror, ale niebieskiemu ekranowi w ich ciasnych pokojach. Dlatego nie mam tam więcej „krewnych”.

Jak wspomniałam wcześniej, 4 marca wyjechaliśmy z miasta pociągiem ewakuacyjnym do Lwowa. To była nasza druga próba ewakuacji. Tym razem zakończona sukcesem. Jednak byliśmy rozdzieleni: moja mama, siostra i młodszy brat jechali w jednym wagonie, a ja z ojcem — w sąsiednim, ale to drobiazg. Wagon był dość zatłoczony: przedział mieścił 13 osób, na korytarzu było też sporo pasażerów i wielu z nich zabierało ze sobą zwierzęta.

Następnego dnia dotarliśmy do ostatniego przystanku. Przywitał nas przyjaciel naszych rodziców, który wyjechał z rodziną pierwszego dnia inwazji i zabrał nas do miasta Wyżnica w obwodzie czerniowieckim do starych znajomych. Byliśmy tam około dziesięciu dni, po czym przenieśliśmy się do centrum administracyjnego. I krok po kroku staraliśmy się zorganizować swoje życie: dowiedzieliśmy się, gdzie sporządzić niezbędne dokumenty i uzyskać pomoc humanitarną.

Jednak wielu naszych znajomych pozostało w mieście. Mam też innych dziadków, którzy mieszkali niedaleko Chersonia i od pierwszego dnia byli pod okupacją. Codziennie dzwoniłiśmy do wszystkich i cieszyliśmy się, słysząc ich głosy. Z pewnością chyba nikt nie spodziewał się, że w XXI wieku będzie odczuwać radość z takich rzeczy?

Anastazja Szumejko, studentka 3. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

A dziadkowie, którzy zostali w Charkowie, nadal tam są. Wszystko u nich dobrze, tylko są zmęczeni brakiem snu, a ostatnio do ich ogrodu wleciała „bomba fosforowa”. Słyszając od nich tę wiadomość, chciałam ich namówić do wyjazdu, ale nie chcieli, a my, będąc dalego od nich, nie możemy ich zmusić do opuszczenia domu. I tę decyzję można zrozumieć.

Teraz moja rodzina i ja jesteśmy na Litwie, niedaleko granicy z Polską. Przyjechaliśmy tu z pomocą dziadków z Chersonia, którym udało się wyjechać samochodem dopiero 5 kwietnia. Całe moje życie pozostało w Ukrainie: dom, bezmiernie kochana osoba, krewni i znajomi. Na szczęście wszyscy są cali. Jednak nawet będąc za granicą nie mogę czuć się jak w domu i całkowicie bezpiecznie. Czytając codziennie wiadomości, w sercu każdego, kto cierpiał, pojawia się rana. Ciągłe w głowie kołaczą się myśli, jaka to niesprawiedliwa, ohydna i obrzydliwa wojna. Jak wszystkie zasady są stale łamane. Jak rząd kraju-agresora otwarcie okłamuje swoich obywateli, zdecydowanie prowadząc ich na nieuchronne zapomnienie.

Na razie wystarczy, że będę się starała studiować, pomagać moim przyjaciółom znaleźć mieszkanie w Polsce, wspierać finansowo Siły Zbrojne i wolontariuszy, choć nie mogę tego robić regularnie i wysyłać dużo pieniędzy, ale nawet niewielka kwota może bardzo pomóc. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak dumna z bycia Ukrainką i z tego, jak niesamowicie silny jest mój naród. Mam nadzieję, że już niedługo będziemy mogli wrócić do domu i zacząć odbudowywać Charków, czyniąc go jeszcze lepszym i piękniejszym. Bo inaczej być nie może, bo „życie zwycięży śmierć, a świat ciemność”.

Waleria Borikowa, studentka pierwszego roku specjalizacji
„Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Moje doświadczenie ewakuacji

Od początku wojny minął miesiąc. Najpierw było zaprzeczanie tego, co się dzieje, potem był strach i beznadzieja. W końcu wyczerpałam wszystkie siły. Trzeba było podjąć decyzję i najlepszym rozwiązaniem była przeprowadzka do innego, bezpieczniejszego miasta.

Udało nam się zabrać ze sobą więcej rzeczy, ponieważ większość osób wyjechała wcześniej, ale było trudniej moralnie, emocjonalnie. Każdy, kto był obok nas, bardzo płakał. Najbardziej cierpiała moja mamusia, bo mój ojczym miał zostać w mieście.

Dojazd na dworzec nie był łatwy, wielu ludzi zostawiło swoje samochody na samym środku pobliskiej ulicy. Wszystko działo się szybko: dworzec, pociąg, pola, lasy. Pracownicy kolei oferowali jedzenie i wodę za darmo, na stacji szybko znaleźli wózek dla kobiety ze złamaną nogą. Ludzie pozostali ludźmi.

Wojna trwa, dusza boli, ale pojawiła się nadzieja na spokojne życie. Codziennie modlimy się o Ukrainę i powrót do domu.

Co najpierw planuję zrobić po zakończeniu wojny?

W tym tak niespokojnym i niestabilnym czasie nie miałam nawet chwili, by pomyśleć o tym, co planuję zrobić po zakończeniu wojny. Wszyscy wiemy, że Ukraina zwycięży, ale przede wszystkim potrzebujemy ciszy dla budowania planów.

Pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy, to spotkanie z bliskimi, z moją babcią i siostrą w ciąży, bo najbardziej martwię się o nie. Mam również nadzieję na wznowienie procesu edukacyjnego na uniwersytecie, spotkanie z przyjaciółkami, łyk uniwersyteckiej kawy. Jeszcze mam mały plan – wziąć sobie szczura, bo długo myślałam o tym. Ktoś może ma bardziej ambitne plany, ale ja nie chcę tego robić, bo nie wiem, co będzie jutro i z czym będę musiała się zmierzyć.

Chcę, żeby wszystko było tak, jak zaplanowałam, ale najpierw modłę się o zdrowie i spokojne życie Ukraińców.

Weronika Motuzowa, studentka pierwszego roku
specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz
język ukraiński”

Moje doświadczenie ewakuacji

Moja rodzina i ja przyjechaliśmy do Niemiec. Myślę, że to państwo nie jest takie przyjemne jak Ukraina, ale tutaj jest bezpiecznie. Droga była trudna, ale nam bardzo pomagali polscy i czescy wolontariusze. Gdyby nie było tych ludzi, nie wiem, czy w ogóle byśmy dojechali.

Dla mnie Niemcy nie są moim krajem, bardzo chcę do taty. Po prostu czekam na koniec wojny.

Złata Czernihowa, studentka 1. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Moje doświadczenie ewakuacji

Jeśli zapytacie mnie, czym jest wojna, odpowiem — chaosem. Przez pierwsze kilka minut po prostu nie rozumiesz, co się dzieje. Nigdy nie słyszałam ani nie widziałam eksplozji, za wyjątkiem filmów. Potem przychodzi moment zaprzeczenia: kto rozpocznie wojnę w XXI wieku? Ręce się trzęsą, ale już od razu myślisz, gdzie są dokumenty i ile minut zajmuje zebranie rzeczy i bieganie do piwnicy. Właściwie już doskonale rozumiesz, co się dzieje, ale nie chcesz postrzegać rzeczywistości, bo jest bolesna i absurdalna. Zagryzasz nerwowo wargi i dzwonisz do rodziców, bo nie wiesz, czy pocisk trafił w obiekt wojskowy, czy „przypadkowo” trafił w budynek mieszkalny. Mama odbiera telefon, ale ona wciąż nie wie, co się dzieje. Mój chłopak siedzi obok i także dzwoni do rodziców. Potem kleimy okna taśmą klejącą i zastanawiamy się, co dalej. Już godzinę po ostrzale idziemy pustą ulicą. Czasami samotni ludzie biegną do metra z walizkami w nadziei, że uda im się opuścić miasto. Kupujemy jedzenie i szybko wracamy do akademika.

Prawdopodobnie najbardziej nieprzyjemną rzeczą w wojnie jest przyzwyczajenie się. Na początku boisz się każdego dźwięku, a po 4 dniach wiesz, jak odgłos „gradu” różni się od odgłosu bombowca. I nie jest to coś nieoczekiwanego. Pamiętam, jak leżeliśmy z przyjaciółmi w piwnicy na matach. Najpierw strzelali z „gradu”— nikt z nas nawet na to nie zwrócił uwagi. Dwie minuty później po raz pierwszy usłyszeliśmy bombowce. Podłoga w piwnicy zaczęła się trząść gwałtownie. Spojrzeliśmy na siebie, wszystkie 40 osób, w milczeniu czekaliśmy, aż to się skończy.

Złata Czernihowa, studentka 1. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Jedną z ważnych cech charakteru, która pojawia się podczas wojny, jest dyscyplina. Ponieważ ukrywaliśmy się w akademiku, zawsze musieliśmy wpuszczać wszystkich mieszkających tam studentów do środka. Czasami spotykaliśmy studentów, których widzieliśmy po raz pierwszy. Musieliśmy zadawać im różne pytania, które znają tylko studenci tego akademika. Na przykład „jak nazywa się czat w akademiku?” i tak dalej. Czasami chodziliśmy sprawdzić dach. Kilka razy znaleźliśmy tam ślady, co przerażało wszystkich.

Mój chłopak i ja nie chcieliśmy opuszczać akademika. Po pierwsze, z obawy, że trafi w nas pocisk. Po drugie, nie chcieliśmy zostawiać naszych przyjaciół. Kiedy jesteś z kimś obok, adrenalina nie pozwala ci tak bardzo się martwić. Ponadto zawsze jesteś odpowiedzialny: nie możesz zacząć płakać i panikować, ponieważ absolutnie wszyscy zaczną wpadać w panikę. Musisz próbować żartować, komunikować się na abstrakcyjne tematy lub żartować z samej sytuacji, aby wszystkim było łatwiej. Tak przez kilka dni siedzieliśmy w piwnicy, grając w planszówki, popijając herbatę lub kawę, oglądając filmy. Czasami biegaliśmy po jedzenie. Kilka razy musiałam biegać pod ostrzałem, bo w akademiku jest 40 osób i wszyscy muszą być nakarmieni.

Zdając sobie sprawę, że armia rosyjska szybko nie opuści okolic Charkowa, chłopak i ja musieliśmy opuścić miasto. Długo przepaszaliśmy naszych przyjaciół za to, że ich tutaj zostawiamy. Oni uściaskali nas i prosili, żebyśmy często pisali do nich. Więc jesteśmy w taksówce. Naprawdę bardzo kochamy Charków. Dla mnie w krótkim czasie stał się drugim domem. Zawsze lubiłam to miasto i przede wszystkim chciałam tu zamieszkać, ale teraz muszę się z nim rozstać. Na jak długo? Nie wiadomo, dlatego czuję się jakoś dziwnie.

Złata Czernihowa, studentka 1. roku specjalizacji „Język polski i literatura polska oraz język ukraiński”

Dojeżdżamy do stacji. Szybko biegniemy na dworzec i znajdujemy pociąg do Lwowa. Wokół jest mnóstwo ludzi, zwłaszcza wiele kobiet z dziećmi. W pewnym momencie bardzo się przestraszyłam, bo w pobliżu stacji zaczęli strzelać. Po trzech długich godzinach na mrozie w końcu weszliśmy do wagonu. Byłam jedną z pierwszych, która wsiadła do wagonu. Potem po raz drugi zrobiło się strasznie, bo mój chłopak nie mógł wejść do środka wagonu przez długi czas, ponieważ mężczyźni walczyli ze sobą, żeby wejść jako pierwsi.

Byliśmy w środku. Jechaliśmy 20 godzin, praktycznie bez wody i jedzenia. W przedziale siedziało około 9 osób, a ludzie spali na podłodze w korytarzu. Kiedy dotarliśmy do Lwowa, odebrała nas siostra. Wtedy po raz pierwszy w tym czasie spaliśmy na wygodnym łóżku w ciepłym mieszkaniu. Spędziliśmy z siostrą kilka dni we Lwowie, a potem wyjechaliśmy do Drohobycza. Drohobycz jest dość cichy. Ale jednak teraz uważnie słucham dźwięków na drodze. Mieszkamy blisko remizy, często jeżdżą samochody, więc może być dość głośno. Powoduje to silny dyskomfort.

Myślę, że wojna bardzo nas wszystkich zmieniła. Przed wojną nawet nie myślisz o tym, że dla szczęścia wystarczy łóżko, gorąca herbata i bułeczki. Teraz bardzo tęsknię za Charkowem, rodzicami i przyjaciółmi. Chcę jak najszybciej wrócić do dawnego życia, kiedy wszystko było spokojne. Chociaż do naszego zwycięstwa pewnie jeszcze długo, ale jestem pewna, że wygramy.